

Afganistan – terror, nędza, sytuacja bez wyjścia

9 lutego 2016

Mieszkańcy Afganistanu już od XIX w. padali ofiarą geopolitycznych rozgrywek, których sensu zwykle nawet nie rozumieli. Ostatnią z nich było przybycie dowodzonej przez USA koalicji. Na gruzach sunnickiego fundamentalizmu miała ona budować demokrację. Piętnaście lat później demokracji ani śladu. Jest ruina.

A miało być tak pięknie... W 2001 r. Amerykanie wkroczyli do Afganistanu pod hasłem walki z talibami. Rząd islamskich fanatyków miała zastąpić demokracja. Konkretnie jego miejsce zajęła namaszczona przez „wyzwoliciele” ekipa z Hamidem Karzajem na czele. Trudno powiedzieć, co bardziej świadczyło o kompetencjach Karzaja w zakresie budowania demokracji: udział w pozyskiwaniu funduszy dla mudżahedinów w latach 1979-1989, związki z talibami (zerwane, gdy ci zamordowali jego ojca), czy doświadczenie w zarządzaniu zdobyte w okresie, gdy nieformalnie przewodził plemieniu Popalzai, z którego się wywodzi. Tak wytrawnemu demokracji i drużynie nie mniej nowoczesnych polityków w reformowaniu kraju miała pomóc międzynarodowa koalicja, a w dalszej perspektywie – szkolona od 2002 r. przez amerykańskich instruktorów nowoczesna armia afgańska. Ani jedni, ani drudzy nie dali rady talibom, którzy, straciwszy władzę, natychmiast zabrali się za organizację partyzantki. Podobnie jak podczas obecnej wojny z Państwem Islamskim, dwuznaczną rolę odegrał regionalny sojusznik USA – Pakistan.

Państwo to wspierało talibów przed 2001 r. i po tej dacie bynajmniej ich nie porzuciło. O sukcesie rekrutacyjnym fundamentalistów zdecydowało jednak co innego. Zaprowadzenie przez najeźdźcę instytucji demokratycznych nijak nie oznaczało, że z kraju zniknie ubóstwo i brak perspektyw, które

już wcześniej nękały Afgańczyków. Nie mając żadnych lepszych widoków, młodzi mężczyźni chętnie przystępowali do partyzantki, nawet jeśli daleka im była fanatyczna religijność. Owszem, był czas, gdy społeczność międzynarodowa chciała nie tylko wysyłać do Afganistanu żołnierzy, ale także inwestować (nie z dobrego serca, ale w nadziei na to, że włożone fundusze zwrócą się na politycznym i gospodarczym polu). Pojawili się aktywiści, którym leżała na sercu kwestia praw kobiet, upowszechniania edukacji czy dostępu do opieki zdrowotnej. Ale była to kropla w morzu potrzeb. Do tego ludzie Karzaja, świetnie zdając sobie sprawę z tego, że władzy nie dano im raz na zawsze, postanowili maksymalnie wykorzystać swój czas. Jeśli istniał jakiś cień szansy na to, że pod obcą władzą w Afganistanie cokolwiek się poprawi, to szansę tę pogrzebały korupcja i marnotrawstwo zagranicznych kredytów i funduszy pomocowych, którego władze dopuszczały się (i dopuszczają nadal) bez najmniejszej żenady.

W 2009 r. talibowie chwalili się, że ich siatka organizacyjna oplata cały kraj. Przesadzali – faktem pozostawało jednak, że w niektórych prowincjach to oni sprawowali realną kontrolę. W innych zaś, ze strachu o własne życie, nowi „demokratyczni” urzędnicy współpracowali i z proamerykańskim rządem w Kabulu, i z talibami. Kiedy w 2014 r. wycofały się amerykańskie wojska, opłacała się już tylko współpraca z tymi drugimi. W rezultacie fundamentaliści mogą uważać się za panów sytuacji na 80 proc. terytorium kraju. Opanowanie reszty to tylko kwestia czasu, być może wcale niedługiego. Może poza stolicą, zamienioną w prawdziwą twierdzę. Z drugiej jednak strony – talibom udało się we wrześniu 2015 r. skutecznie przeprowadzić oblężenie blisko 270-tysięcznego Kunduzu, piątego co do wielkości miasta w Afganistanie. Udowodnili wówczas, że ich wojskowe umiejętności wykraczają poza zwykłą walkę partyzancką. Obnażyli również w całej okazałości niekompetencję armii afgańskiej, szkolonej przez amerykańskich instruktorów od 2002 r. – z bardziej niż mizernym skutkiem. Ponadto nawet jeśli fundamentaliści nie daliby na dzień

dzisiejszy rady przeprowadzić frontalnego ataku na stolicę, to z powodzeniem terroryzują jej mieszkańców, organizując w Kabulu samobójcze zamachy. W jednym z ostatnich, 1 lutego, zginęło 20 osób, a 30 innych zostało rannych. Dżihadysta najpierw ostrzelał ludzi czekających przed posterunkiem policji, a potem wysadził się w powietrze. Nikt nie był w stanie mu przeszkodzić.

Mało komu chce się umierać za państwo, które samo dokonuje właśnie żywota. Według raportu sporządzonego dla amerykańskiego Kongresu przez Johna Sopkę, specjalnego inspektora ds. odbudowy Afganistanu, 113 mld dolarów, za które Afganistan miał zostać podźwignięty ze zniszczeń wojennych, wyposażony w podstawową infrastrukturę i które miały posłużyć rozruszaniu gospodarki, zasadniczo poszło w błoto. Szansą kraju miało być rolnictwo. Tyle, że państwo musiałyby je gruntownie zreformować, bo istniejące dziś tysiące małych gospodarstw ledwo zapewniają swoim właścicielom przetrwanie, nie mówiąc już o eksporcie i zarabianiu. Co najmniej 17 mld z międzynarodowej pomocy zniknęło nie wiadomo gdzie (czytaj: w kieszeniach lokalnych polityków i szejków plemiennych). Niektóre projekty, w tym zupełnie podstawowe, jak budowa porządnych dróg ze wsi do miast czy otwieranie szpitali, trzeba było porzucić, bo budowniczych i lekarzy mordowali talibowie. Na ochronę ze strony wspominianej już armii nie ma co liczyć. Także dlatego, że wyposażając ją i szkoląc Amerykanie spodziewali się efektów przy minimalnych kosztach własnych – afgańscy „przyjaciele” dostawali od nich sprzęt o wiele gorszy niż ten, którym dysponują talibowie. Niezależnie od tego wiele oddziałów formalnie wiernej Kabulowi armii działała jak prywatne bojówki lokalnych watażków. Jeśli rząd znalazłby się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, prędzej zajmą się zabezpieczaniem lokalnych interesów, niż obroną prezydenta Aszrafa Ghaniego (głowy państwa od 2014 r.). Wojnę domową, w której biją się fanatycy islamscy i lokalni kacykowie Afganistan już przerabiał w latach 90. XX wieku. Powtórka nie jest wykluczona, tym bardziej, że talibowie też nie są

organizacją ściśle scentralizowaną. Ambicje całego ruchu, by zbudować państwo oparte na rygorystycznej interpretacji sunnickiego islamu to jedno – są jeszcze partykularne ambicje poszczególnych dowódców.

Więcej problemów niż regularna armia mogą fundamentalistom narobić ... inni fundamentalisci. W Afganistanie coraz śmielej rozbudowują bowiem swoje struktury dżihadyści z Państwa Islamskiego. Ideologię głoszą w zasadzie taką samą, tak samo skrajnie interpretują religijne nakazy, tak samo odnoszą się do ludzi, którzy w tej interpretacji się różnią. Teoretycznie różnicą jest rozmach planów na przyszłość – talibowie jak dotąd nie opowiadali o wszechświatowym kalifacie. W praktyce liczy się co innego. Państwo Islamskie podbiera lokalnym fundamentalistom potencjalnych bojowników, a nawet całe oddziały już wyszkolonych dżihadystów, posługując się kombinacją argumentów ściśle terrorystycznych, prestiżowych i pieniężnych. Ludność cywilną zastrasza masowymi morderstwami. Ambitnym dowódcą walczącym dotąd w szeregach talibów obiecuje karierę i wpływy stokroć wspanialsze niż to, co może zaoferować rodzima partyzantka. Młodym adeptom proponuje 700 dolarów miesięcznego wynagrodzenia. U talibów dostaliby – w najlepszym razie – połowę tego. Dla porównania – armia gotowa jest płacić żołd w wysokości marnych 100-150 dolarów.

Widmo Państwa Islamskiego, nawet jeśli obiektywnie to nie ono jest dziś największym zagrożeniem dla rządu w Kabulu, straszy prezydenta Ghaniego już tak bardzo, że dopuszcza on współpracę przeciwko niemu z ... talibami. Ghani przekonuje, że w ruchu, który dziś zapowiada bezkompromisową walkę z jego rządem, można znaleźć nie tylko fanatyków, ale i ludzi gotowych zmienić front. Przy ich pomocy, opowiada prezydent, będzie można zwalczyć najgorszych ekstremistów. Jest tylko jeden warunek – do Kabulu nadal musi płynąć pomoc międzynarodowa, dobrze by też było, gdyby USA wpłynęło na Pakistan, by zaprzestał wspierania talibów. W wizję tę nie wierzy chyba sam Ghani. Dlaczego Stany Zjednoczone miałyby nakłaniać Pakistan

do zmiany pomysłów na politykę zagraniczną, skoro nie zrobili tego ani w 2001 r., ani w latach następnych? Równie fantastyczne byłoby przekonanie zagranicznych dobroczyńców, by nadal wysyłali pieniądze do Kabulu, na nieuchronne zmarnowanie. Tym bardziej, że rząd z talibami w składzie byłby albo powrotem do przeszłości, albo zarzewiem nowych walk wewnętrznych między fundamentalistami, którzy do rządu się załapali, a tymi, którzy nie mieli tego szczęścia. A zwykli obywatele? Od wieków są igraszką wielkich interesów. Mogli się już przyzwyczaić.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu